№ 16.

Warszawa, dnia 19 Kwietnia 1862 r. 7 Kwietnia.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w **Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

KSIĘŻA DROGA POD PROSZOWICAMI.

RZECZ PRAWDZIWA

OPOWIEDZIANA PRZEZ

Adama Wiślickiego.

Nie dojeżdżając do miasteczka Proszowice, co się powabnie na łonie błogosławionéj krakowskiéj ziemi rozsiadło, podróżny przed laty kilkudziesięcioma ciężką miał przeprawę. Potężny garb ziemi wystrzelił wysoko, wznosząc się po nad miasto stromym bokiem, po którym biegła raz w wąwóz schowana, to znów ku górze, wężem pełzająca, gliniasta, pełna dawnych wybojów droga. Wesoły Krakowiak, ze śpiewką na ustach, sowiał dojechawszy do tego miejsca, bo mu się drobne zrywały koniki holując wóz na grębę, i często ukręciło koło, złamał dyszel, gdy po stromym boku góry do miasta zjeżdżać zaczął. Na roztopach wiosennych, lub w dżdżystéj porze jesiennéj, bryczka choćby dzielną parą dereszów zaprzężona, więzła w grzkiéj madzie gliniastéj i już nie ruszyła bez szkody. Furmani z ciężkiemi krakowskiemi brykami radośnie gładzili pejsy, gdy im się Proszowską górę bez nieszczęścia przejechać udało. I każdy podróżny, każdy wieśniak, żyd każdy z uszkodzoną bryką lub wozem klął drogę siarczyście, boć szkoda konika i statku.

Na samym wierzchołku góry, w kępę tarniny spowita stała skrzypiąca, stara, mchem obrosła figura ukrzyżowanego Zbawiciela, ze schylonym u podnóża świętym Janem; stała od lat wielu przysłuchując się wszeteczeństwu ludzkiemu, bo nikt po téj drodze z dobrém nie mijał jéj słowem. Więc zasępiła się twarz ukrzyżowanego Chrystusa pomroką bożego smutku, a pochyliła ku ziemi głowa świętego Jana i z oczu jego kapały łzy boleści.

U stóp téj figury, na kamienném podmurowaniu, opadłém z tynku od starości, siadywał przed laty ksiądz wikary Proszowicki, słynący w okolicy ze swéj bogobojności; ubogi jak sługa boży, miłosierny, ostatkiem dzielił się ze swoim bliźnim. Siadując tu często o ranku i wieczorze, z modlitwą na ustach nasłuchał się pobożny kapłan przekleństw ludzkich i napatrzył ich biedy, gdy łamiąc koła i bryki ze złorzeczeniem ciągnęli ku widniejącemu zdaleka miastu. Ściskało się serce pobożnego star-

ca na taką obrazę bożą, litowało nad biedą ludzką; a więc Bóg najwyższy, ów Jezus ukrzyżowany natchnął kapłana swego dobrą myślą, a on usłuchawszy głosu Pańskiego, jął się zaraz roboty.

Praca, którą przedsiębrał ów zacny kapłan, była niemałą, bo ni mniéj ni więcéj, zapragnął on przekopać górę, aby ludziom ulżyć w przeprawie, i aby Chrystus na krzyżu więcéj już bluźnierstw ich nie słyszał. I odtąd, jak tylko świt, widziano codziennie księdza wikarego z rydlem w ręku, kopiącego sam jeden żółtą górę i odwożącego taczkami ukopaną ziemię na wądoły i wyboje. Zrzuciwszy wierzchnią suknię kapłańską, zakasawszy rękawów u koszuli, w długiéj kamizeli, z zatkniętą za pas czerwoną kraciastą chustką, w słomianym kapeluszu, z pod którego wymykały się sędziwe kędziory białych jak śnieg włosów, pracował ksiądz wikary nieustannie szepcząc pacierze długiéj koronki. A gdy dzwonek w poblizkim kościele zawezwał wiernych na modlitwę, szedł z roboty kapłan pobożny odprawić służbę Bożą, i po skończoném nabożeństwie wracał znów do pracy około drogi w Proszowskiéj górze.

Urządził się on tu jak dobry gospodarz: w litéj ścianie wyżłobił grotę, a ta służyła za skład narzędzi i dawała mu przytułek w czasie znojnych upałów lub nawalnéj burzy. Nie zapomniał téż o swoich biednych: dłoń jego napracowana zawsze gotową była do datku; w chwilach nędzy na przednówku, gdy brakło ludowi zarobków, ksiądz wikary za grosz ukwestowany najmował do pomocy około przekopania góry, bo każdy dzień bliższy celu, jak mówił, zmniejsza obrazę Bożą.

Całe miasto patrzało na te trudy poczciwego księdza, cała okolica przypatrywała się temu, ale ludzie widząc schylonego wiekiem starca, kopiącego powoli rydlem, lub ciągnącego taczkę, uśmiechali się niedowierzająco z téj mrówczéj pracy, kręcili głową poszeptując, iż ksiądz wikary pod starość stracił na umyśle, bo się wziął do pracy przechodzącéj siły jego. Wyżsi i bogata szlachta po prostu uważała kapłana Bożego za poczciwego warjata, a przez grzeczność, co najmniéj, nazywano go dziwakiem.

Górę przekopać słabemi siłami jednego człowieka, to trud nie lada! ale czemuż nie podoła praca ludzka? Kropla wody padając ciągle na kamień, w końcu go dziurawi, więc i ksiądz wikary nie ustawał w swém przedsięwzięciu, ocierając znój z czoła czerwoną kraciastą chustką. Z każdą nową wiosną brał się do pracy z zapałem, i tak krok za krokiem rył wnętrze góry, torując szeroką i wygodną, łagodnego spadku drogę. A za każdym rokiem, im daléj postępowało dzieło, tym twarz rozpiętego Jezusa u figury rozpogadzała się, tym milszy uśmiech rozpromieniał Boże oblicze, a łzy wysychały w oczach świętego Jana, który obejmując ramiony krzyż, coraz wyżéj podnosił głowę ku niebiosom.

I minęło tak lat dziesięć... dziesięć razy ziemia pokryła się kwieciem na wiosnę, dziesięć razy plony pracy swojéj zbierał lud krakowski, dziesięć razy śnieżny płaszcz pokrył ziemię proszowską, a ksiądz wikary ciągle i ciągle pracował. A gdy jedenasty raz kukułka zakukała w zielonym borze, wikary po raz ostatni z taczkami wyszedł pod górę, po raz ostatni uderzył rydlem—i oto otworzyła się droga szeroka i piękna o łagodnym stoku. Chrystus uśmiechnął się z kryża radośnie, a święty Jan dziękczynnie spojrzał ku niebu.

Zeszła się wtedy rzesza ludu wielka, a ksiądz wikary po odprawieniu Mszy świętéj, szedł na miejsce swéj pracy z krzyżem w ręku, a za nim lud, mieszczanie i szlachta. Przybywszy pod figurę, ksiądz pobożny poświęcił drogę, a uchylając sędziwéj głowy przed rozkrzyżowanym Chrystusem, rzekł ludowi:

„Oto Ten, który mię natchnął myślą zacną przekopania góry, i który dopomógł mi do spełnienia dzieła tego. Niech będzie Jemu a nie sługom nam cześć za to. Oto was wielu, bracia, widząc słabe siły moje, wątpiło, abym dokonał tego com przedsięwziął; ale za prawdę powiadam wam, silny ten, kto uwierzył w Pana i dla rąk jego nic niepodobnego nie masz. Długie lata figura ukrzyżowanego Chrystusa, miasto czci należnéj, słyszała tu tylko słowa wszeteczeństwa i przekleństwa, aż zasmuciło się bożą boleścią oblicze jéj. Dziś niech błogosławieństwo Panu brzmi, że pozwolił słabemu słudze uprzątnąć to, co było powodem obrazy Bożéj. Bracia moi! w życiu waszém, które jest drogą przejścia, wznosi się teraz góra stroma i najeżona wertepami, a cierniem i głogiem uwita. O wy bracia! co w bezsilnym gniewie i próżnéj rozpaczy przeklinacie ją, bluźniąc imieniowi Pańskiemu, zamiast wziąć się do pracy i przekopania jéj; wołacie: to nie na nasze siły!... ale patrzcie, wiele rzeczy zdaje się na świecie, że przechodzą nasze siły, że słabi nie damy im rady... że nie przekopiemy góry, ale wyżłobiemy w niéj sobie mogiłę. Lecz weźmy się tylko w Imię Boże, dla Jego chwały, z wiarą gorącą a prostém i ufném sercem, a wnet pryśnie niepodobieństwo i przekopiemy naszą górę, i utorujemy dla przyszłych pokoleń dogodną drogę. Niechże się święci Imię Pańskie! a pobożny przechodzień, na pamiątkę dnia dzisiejszego, pod figurę przyjeżdżając, wyszepta dziękczynne „Ojcze nasz!”

Od tego radosnego dnia, długo jeszcze bogobojny ksiądz wikary siadywał na czerwonym murowanym postumencie, opadłym z tynku, pod figurą Jezusa, ale już nigdy nie słyszał przekleństwa, ale dolatywały go z wiatrem słowa Bożego pacierza, mieszającego się z wyrazami koronki, którą odmawiał na długim rożańcu wiszącym mu u pasa. A twarz Chrystusa uśmiechała się pogodnie, a głowa świętego Jana prosto patrzała w niebiosa błękitniejące jasno i pogodnie.

OJCZE NASZ.

W ciężkim ucisku, który dziś ponoszę,
Nie śmiem spoglądać w głąb samego siebie...
Ku Tobie Boże, me ręce podnoszę
I wołam: „Ojcze, który jesteś w niebie!"

Patrząc na cuda Twojéj ręki świętéj,
Na Twoję wielkość—i nikczemność moję...
Wołam struchlały, podziwem przejęty:
„Święć się Twe Imię, przyjdź królestwo Twoje!"

Bez Twéj pomocy, święty, mocny Boże!
Nic nie zrobimy siłami naszemi...
Spraw więc, niech wołam w serdecznéj pokorze:
„Bądź wola Twoja w niebie i na ziemi!"

Opatrzność Twoja karmi ten świat cały—
I muszkę małą, i lwa drapieżnego...
Gdy nam żyć każesz dla świętéj Twéj chwały,
„Dajże nam dzisiaj chleba powszedniego!"

Zawsze ułomni, my z własnéj przyczyny
Giniemy w grzechach, a sądu się straszym...
Bądź nam miłościw!... „i odpuść nam winy,
Jak odpuszczamy winowajcom naszym!"

Gdy nas opuścisz... a któż się ostanie?
I któż z nas wnijdzie do królestwa Twego?
„Na pokuszenie nie wwódźże nas, Panie,
Ale nas wybaw od wszelkiego złego!"

Józef Moroz.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

—Pan Delamarre, naczelny redaktor dziennika *La Patrie*, miał uroczyste posłuchanie u Cesarza Napoleona, przed ktorym wyłożył system zachowania zboża od zepsucia. Przez zastosowanie wynalazku pana Delamarre, zboże może lat kilka być przechowaném bez najmniejszego uszkodzenia. Cesarz dał rozkaz, aby dokładnie zbadano ten system i przedstawiono w razie potrzeby projekt do prawa, mający być opracowany, jak zwykle, w radzie stanu.

—Niemniéj użyteczny wynalazek, którego doświadczenie w tych dniach odbyć się ma przed Cesarzem, należy się pomysłowi jednego z naszych rodaków, panu Krasuskiemu. Jest to bardzo prosty a niezawodny środek powstrzymania rozbieganych koni. Mechanizm cały polega na zakręceniu korbą, do któréj przytwierdzony jest rzemień opasujący jedną z zadnich nóg konia, wprzężonego w powóz. Pas rzemienny podnosi w górę nogę rozfukanego konia, i w jednéj chwili go zatrzymuje. System ten również łatwo do wierzchowych koni da się zastosować, tylko wtenczas cały mechanizm, rozumié się, w mniejszéj objętości urządza się w siodle. Pan Krasuski otrzymał już brewet na to, i wynalazek jego na posiedzeniu inżynierów i mechaników bardzo praktycznym się okazał. W skutek więc tych prób otrzymał on zawiadomienie od jenerała Fleury, naczelnego koniuszego dworu, z oznajmieniem, że Cesarz Napoleon sam oświadczył chęć być obecnym na próbie i osobiście się przekonać o praktyczności tego wynalazku.

Gdyby te próby panu Krasuskiemu się powiodły, system jego w całéj armji francuzkiéj zastosowanym zapewne zostanie. Mnóstwo już w tym przedmiocie zrobiono wynalazków i usiłowań, które pokazały się niezbyt praktycznemi; wynalazek wszakże pana Krasuskiego zdaje mi się miéć wszystkie przymioty powodzenia, i ta okoliczność już jest dlań dobrą zapowiedzią, że chociaż cudzoziemiec, młody i nieznany Francuzom człowiek, doszedł on wszakże, po zbadaniu ludzi specjalnych i zdolnych opiniją niemylną wydać, do przedstawienia swego wynalazku przed dworem i najznakomitszemi dygnitarzami Francji.

Wkrótce pan Krasuski zamierza robić na polach Elizejskich podobneż doświadczenia, i poddać się pod sąd licznie zgromadzonéj publiczności. Głębokość pomysłów i wrodzona łatwość kombinacji mechanicznych, doprowadziła naszego rodaka do innego jeszcze a nierównie użyteczniejszego wynalazku. Jest to niezawodny sposób powstrzymania w jednéj chwili puszczonych w całym pędzie lokomotyw, i zapobieżenia spotkaniu się dwóch pociągów, czemu, przy całéj ostrożności służby, nie było możności aż dotąd zapobiedz. Pan Krasuski chowa jeszcze w tajemnicy ten wynalazek, aż do chwili, kiedy we wszystkich krajach, gdzie istnieją koleje żelazne, uzyska nań brewety. Jeżeli powiedzie mu się pomyślnie ten wynalazek, jak spodziewać się należy, to będzie to

jeden z nieoszacowanych nabytków XIX wieku, jako usuwający ciągłą przyczynę tylu straszliwych i przerażających nieszczęść. Tym sposobem, nasz młody rodak, który w Warszawie w Gimnazjum realném pierwiastkową naukę matematyki odbył, znakomitą może przynieść usługę ludzkości.

Jnny jeszcze wynalazek p. Krasuskiego polega na mechanizmie, dozwalającym dźwigać i ciągnąć jednemu koniowi taki ciężar, jaki trzy konie w zwyczajnym wozie zaprzężone, uciągnąć nie mogą.

—Ponieważ zacząłem o użytecznych wynalazkach, pozwólcie mi Panie wspomnieć, że sławny pogromca lwów, Jules Gerard, założył towarzystwo mające na celu exploatowanie produktów bogatych krain algierskich. Wszystkie towarzystwa geograficzne, uczone, czy aklimatyzacyjne, istniejące w Europie, postanowiły czynnie wspierać przedsiębiorstwo pana Gerard. W tych dniach, w sławnéj fabryce wyrobów stalowych pana Godillot, przy wejściu do lasku Bulońskiego oglądałem żelazną klatkę z sidłami, zbudowaną w celu ujęcia najsilniejszych i najokrutniejszych zwierząt: lwów, panter i tygrysów. Robiono z nią doświadczenia wobec Księcia Murata, kuzyna Cesarza Napoleona i innych znakomitości. System mechaniczny tak genijalnie jest tu skombinowany i urządzony, że jeden człowiek porusza ogromne machiny, które nie tylko wilka lub niedźwiedzia, ale najsilniejsze zwierzęta i wściekłe z gniewu bestje, w jednéj chwili usidłać mogą.

—Wciąż powiększająca się nędza we Francji mnoży coraz liczniejsze towarzystwa wsparcia i opieki. Trudne zarobkowanie z jednéj strony, a pochop do wystawności i zbytku z drugiéj, jak to już Paniom nieraz wspomniałem, skazuje na zatratę niepoliczoną ilość kobiet, i do coraz rozpaczniejszego rozprzężenia podstawy społeczeństwa ludzkiego, bo rodziny, prowadzi. Z tych to powodów, we wszystkich miastach francuzkich tworzą się towarzystwa opieki, wsparcia i dostarczania w miarę możności zajęcia biednym panienkom, chcącym pracować, żyć skromnie i uczciwie w czystości obyczajów rodzinnéj strzechy. Najbogatsze panie wpisują się do tych towarzystw i znaczne datki wnoszą tak, że w niektórych z nich, posag protegowanych dziewcząt przy zamęźciu, kilka a nawet kilkanaście tysięcy franków wynosi. Aż dotąd patronowane dziewczęta są po większéj części córki biednych urzędników, oficerów, kupców i obywateli podupadłych, a uczciwych i zasłużonych; z czasem wszakże, jest nadzieja, że będą one w stanie ponieść wsparcie każdéj, bez różnicy stanu, dziewczynie biednéj, chcącéj żyć uczciwie z własnego zarobku. Już parę lat temu, opisałem Paniom szczegółowo podobne towarzystwa w Lyonie i innych miastach, dziś nie potrzebuję się powtarzać, tylko przypominam Wam, drogie Polki, które nad oświatą ludową tak czynnie krzątać się poczęłyście, że Was Francuzki istotnie podziwiają, a wszyscy ludzie serca wielbią; przypominam Wam, łaskawe Czytelniczki, że i u was w Polsce podobny pomysł, to jest, towarzystwo wsparcia biednych i uczciwych panienek, przydaćby się więcéj powinien jak gdzieindziéj, bo cnota Polek jest znaną, a zatém skrzętnie od zaguby waszéj moralności chronić powinnyście. Wszak, *la noblesse oblige*, jak mówi Francuz, a tém więcéj, opinija moralnych i cnotliwych kobiet, jaką macie w Europie, obowiązywać Was solidarnie powinna.

—Wiadomo, że w skutek śmierci Bogdy-hana, zaszłéj w r. z., wstąpił na tron małoletni syn jego pod kierunkiem matki regentki i nadzorem rady, któréj prezydentem jest Książę Kong, ten sam co zawarł traktat z Anglikami i Francuzami po wzięciu Pekinu. Wiadoma jest ta okoliczność, że Książę Kong sprzyja cudzoziemcom i jest nawet zapalonym stronnikiem europejskiéj cywilizacji. W tych ostatnich czasach, handel Francji z Chinami niesłychanie się powiększył. Tu w Paryżu cyrkuluje mnóstwo przekupni, ex-majtków w marynarce kupieckiéj, którzy z tłomoczkami, jak nasi przemytnicy graniczni, do domów prywatnych gwałtem włażą i narzucają się ze sprzedażą towarów chińskiego wyrobu. Towary te, bardzo oryginalnego wyrobu, zalecają się po większéj części trwałością, delikatnością, a nawet niekiedy gustem. Pomiędzy ostatniemi najcelniejsze są kołdry bite z bawełny lub sierci, zdobne w świetne i dziwaczne kolory i desenie; ekrany, chustki fularowe, chustki białe do nosa z włókien drzewnych, cieńsze i piękniejsze od batystowych. Takie chusteczki płacą się tu po trzy a nawet po dwa franki i pół. Niektóre wystawniejsze sklepy na bulwarach zawalone są towarami chińskich wyrobów. Stosunki więc handlowe Francji z Chinami coraz obszerniejszych rozmiarów sięgać będą. Rząd francuzki wszelkiemi siłami wspiera dążność przemysłowców tutejszych, w celu zakładania fabryk w Kantonie, Shangaï i innych miastach państwa chińskiego. Obecnie nawet Napoleon rozkazał swemu Ministrowi spraw zagranicznych ustanowić ambassadę w Pekinie, zamiast istniejącego dotąd poselstwa, złożonego z konsulów i ministrów pełnomocnych. Dwóch kandydatów do zajęcia téj wysokiéj godności w państwie nieprzeniknionych tajemnic się przedstawia. Jeden z nich jest nasz rodak pan Adam Kleczkowski. Młody, rzutny i zdolny Kleczkowski urodził się w Powiecie Łomżyńskim, uczęszczał do szkół

wojewódzkich w mieście Łomży, a kończył nauki w Warszawie. W 1840 roku przybył on do Paryża, gdzie usilnie przykładał się do nauki języka chińskiego, zawiązał stosunki przyjazne z adjutantem Księcia Nemours, syna Ludwika Filipa, i za pośrednictwem tego oficera wszedł w służbę francuzką do Ministerjum spraw zagranicznych, zkąd wkrótce wysłany został na urzędnika konsulatu francuzkiego w Kantonie, ponieważ Francja w owym czasie dyplomatycznego agenta w mieście Pekinie mieć nie mogła. Później pan Kleczkowski został pierwszym sekretarzem ambassady francuzkiéj w Chinach, i w tym to charakterze przywiózł on był parę lat temu sławne depesze do Paryża, donoszące o porażce Francuzów i Anglików na Pei-ho.

Ambassada japońska po pierwszy raz podobno w miesiącu Styczniu do Europy została wyprawioną. To nadzwyczajne poselstwo składać się ma ze trzydziestu osób. Uda się ono najprzód do Brezylji, późniéj do Francji, a następnie do Anglji, Prus i Rossji, zkąd przez Syberją ma wrócić na wyspę Nippon.

---

*
* *

Chrystus zmartwychwstał! powtarzają dziś wszystkie chrześcijańskie usta, a ojczysta ziemia nasza przywdziewa się, od najuboższéj lepianki do pałacu, w szatę staropolskiéj gościnności—zastawia stoły i z serdecznością raczy każdego wstępującego w progi domowego ogniska. Zwyczaj ten, jakkolwiek przez wielu zaniedbywany, bodaj na wieki pozostał z nami; obok bowiem strony materjalnéj, podającéj sposobność gosposiom naszym do popisania się z zapasami spiżarnianemi i z całą znajomością swoich obowiązków, spoczywa w nim myśl wyższa... braterstwa w Chrystusie. *Chrystus zmartwychwstał!* to symbol miłości, poświęcenia i wiary—to droga do Golgoty, ale i do zbawienia...

Jak tam świat zieleni się na wsi, w miejskiéj naszéj skorupie trudno odgadnąć; o ile jednak dojrzéć można przez żelazne kraty ogrodów u nas w Warszawie, trawniki już przystroiły się w majowe sukienki, krzewy rozwijają się w listki, a drzewa coraz suciéj okrywają się pączkami. Świat więc co chwila piękniеje, a chociaż skutkiem wyjątkowéj łagodnéj temperatury, w Belgji już dawno drzewa owocowe w pełnym były kwiecie, cieszymy się jednak i tem, czém nas Pan Bóg darzy.

Dziś, razem z zielenią, tym zwiastunem zamiejskich majowych wycieczek, perjodyczna nasza literatura wita nowego gościa *Kurjera Niedzielnego*, którego pierwszy numer, pod redakcją pana Aleks. Niewiarowskiego, dziś wystąpił na widok publiczny. Zajmujący program pisma, jak i znane pióro Redaktora, którego wdziękowi i wabności żaden ze sprawozdawców tygodniowych nie dorównywa, dają niepłonną nadzieję, że publikacja ta będzie ciekawą i użyteczną, że obejmując przeglądy polityczne i krytyczne wszystkiego co się u nas drukuje, a przytém dając wiadomości o bieżących wypadkach, stanie się niezbędném w każdym domu, nieobojętnym na rozwój literatury ojczystéj.

Drugą literacką nowością jest *Gazeta Polska dla Rolników*, wydawana we Wrocławiu pod redakcją pana Wilhelma Jankę, którą także i u nas można prenumerować. Pierwszy numer rozdany bezpłatnie na próbę, mimowoli przypomniał nam bajkę Krasickiego o dwóch żółwiach, pod zakładem ścigających się, którym jaskółka udzieliła radę, aby wprzódy nauczyli się chodzić. Chcąc bowiem uczyć, trzeba przede wszystkiém umiéć pisać, jeżeli już nie zadziwiająco, mądrze, to przynajmniéj czysto po polsku. Numer zaś ten tyle ma błędów językowych, tak widocznie pisany jest z niemiecka po polsku, że rzeczywiście trzeba być bardzo cierpliwym, niewymagającym i ciekawym, aby go przeczytać od deski do deski. Cóż bowiem powiecie o pismie, które w warunkach prenumeraty powiada, że jest do nabycia *dla Królestwo Polskię* u Kaufmana; na dewizie zaś pomieściło takie wyrażenie:

Rolnik jest fabrykantem:
Nad wszelką potęgą on sztuką panuje,
A element każdy swym umem pojmuje.

Już co *um*, to szczególniéj przypadł do smaku redaktorowi, obraca nim i wykręca jak tylko może najczęściéj, czy potrzeba, czy nie potrzeba. Otóż my *umem* naszym polskim radzimy redaktorowi, aby przede wszystkiém zamówił sobie dobrego korrektora, bo pisać i drukować taką polszczyzną, to czyste drwiny z naszego języka, który pod każdym względem zasługuje na szacunek i poważanie każdego, a szczególniéj tych, co nim piszą, mówią i uważają za swój rodzinny.

Co do innych perjodycznych wydawnictw, *Przyjaciel Zdrowia* i *Jutrzenka*, pismo dla Polaków wyznania Mojżeszowego, coraz więcéj zyskują uznanie i powiększają liczbę swoich czytelników. Trzeba znać je dobrze i wniknąć w ducha jaki im przewodniczy, aby ocenić należycie pracę szanownych pism tych Redaktorów. Cechuje je zawsze gorąca miłość kraju, prawda szczerze i jasno wypowie-

dziana, i zacna chęć szerzenia pomiędzy ziomkami wszystkiego, co pożyteczne, piękne i co podnosi myśl ludzką na właściwe jéj stanowisko. O poparcie więc prosimy, bo co dobre, niech się jak najbardziéj rozszerza po naszym kochanym kraju, z takim zapałem garnącym się do światła i nauki.

Że nam Bóg nie odmówił zdatności we wszystkiém, do czego się tylko szczerze weźmiemy; że talentów nam nie brakuje, którym nawet przyklaskuje Europa — świeży tego przykład dał nam pan Baranowski, przedstawiając w Anglji lokomotywę poruszaną siłą zgęszczonego powietrza, która bez użycia wody i ognia prowadziła pociąg obciążony blizko dwoma setkami ludzi, z szybkością sześciu mil angielskich na godzinę. Próba ta tak pomyślna, nowy motor daje światu, jaki bez pochlebstwa dla naszego ziomka, można nazwać genijalnym i wielkiego znaczenia.

Z drugiéj półkuli ziemi, co pancernym swym potworem morskim poruszyła wszystkie europejskie floty i wstrzęsła niemi jak liśćmi na drzewie, donoszą o balach tak zwanych *perkalikowych*, na których choćby najpiękniejsze i najbogatsze panie obowiązane są występować w samych perkalikowych sukienkach, i po jednorazowém użyciu oddawać je na ubogich. Myśl to dobra, ale Bogiem a prawdą, wszystkie te tańcujące dobroczynności, litujące się nogami nad wygłodzonym bliźnim, podobne są do owego samoluba i pasibrzucha, co jedynie dlatego jadał na dzień dwa obiady, żeby ubogich resztkami uraczyć.

KSIĄŻKI

WYDAWANE DLA LUDU WIEJSKIEGO I MIEJSKIEGO.

—*Gawędy warsztatowe dla rzemieślników i robotników polskich*; *opowiedział terminator*, gr. 20. Obejmuje gawęd sześć. Autor, pan Adam Wiślicki, przedstawia w nich: 1, zakłady krawieckie i kluby rzemieślnicze w Anglji; 2, o fałszywym i prawdziwym kredycie; 3, o wypłacie w Czwartki a nie w Sobotę; 4, o kassach pożyczkowych; 5, o szkołach wieczornych dla młodzieży rzemieślniczéj; 6, o bibljoteczkach ludowych. Z tych 1 i 4, najciekawsze i bardzo zajmująco przedstawione, inne w rozmowie rzecz objaśniają. Szkoda że autor nie przedstawił ich w formie powiastek, rzecz bowiem nabrałaby życia i więcéj praktycznie stałaby się przekonywającą. Dziełko zawsze pożyteczne; dalszych zapowiedzianych gawęd niecierpliwie wyglądamy.

—*Szczere życzenia dla ludu wiejskiego*, przez Ks. Karola Antoniewicza, gr. 15. Obejmuje życzenia w nauce kapłańskiéj, na nowy rok zwykle składane.

—*Zabawy wieczorne*, czyli powieści o Ziemi świętéj dla ludu i młodzieży szkolnéj, przez Józefa Lompę, złp. 2 gr. 15; mieści w sobie opis objaśniający historję biblijną, zbyt przepełniony datami i drobiazgowym opisem krajów, miast i nazwisk historycznych.

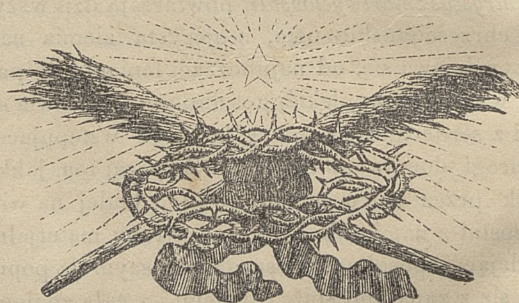
—*Rady gospodarskie* w pytaniach i odpowiedziach, dla użytku wieśniaków, przez Adama Goltza, gr. 20; rzecz starannie, poczciwie ułożona i obrobiona. Jako zaś obejmująca rozbiór najżywotniejszych kwestyj, odczytywana małemi ustępami i ze stosowném objaśnieniem, może stać się dla pilnych słuchaczy bardzo pożyteczną.

—*Czytania dla ochronek i szkółek wiejskich*, gr. 10. Książeczka pierwsza obejmuje historją o królu Dawidzie, walkę jego z Goljatem, wyniesienie na tron i wyjątki z Psalmów, tłómaczone przez Jana Kochanowskiego. W drugiéj mą się mieścić Fran. Karpiński i jego pieśni religijne. Opowiadanie jasne i malownicze zaleca pierwszą tę książeczkę, po któréj inne, w pewnych ustępach czasu mają ciągle następować.

SZARADA.

Pierwsze przyprawą nazwać się może,
Drugiego żebrak czeka w pokorze—
Całą zdobi korona,
Zimą i latem zielona.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Szkatułka**).



Suknie wiosenne.—Najnowszy paletocik Impériale.—Ubranie wizytowe.—Ubranie dla młodéj panienki.—Ubranie codzienne.

Pomimo że nowości nie nadeszły jeszcze do sklepów i magazynów naszych, jednak przy zbliżających się świętach uważaliśmy w nich większy ruch niż zwyczajnie. W magazynie panien Kuhnke przygotowano kilka ładnych sukien wiosennych, które tu z kolei opiszemy:

Suknia fularowa czarna w drobne białe kropeczki, miała spódniczkę wyciętą u dołu w zęby, wygarnirowane fałdowaną przez środek wstążeczką, wązką na dwa palce. Stanik gładki, spięty na okrą-

głe guziki rogowe wielkości orzechów, naszyty był wstążką czarną w drabinkę (en Brandebourg). Rękawy składały się z trzech buf i szerokiego obcisłego mankieta, spiętego na sześć guzików; bufy przedzielone były od siebie wstążką związaną na kokardę z długiemi końcami.

Suknia popelinetowa w białe i czarne paski, składała się z osobnéj spódniczki, wszytéj w pas szwajcarski, z zębem w górę, i z gładkiego staniczka, spiętego na czarne guziki. Na wierzch szły szelki z końcami, czarne jedwabne, złączone tak z przodu jak na plecach pojedynczą drabinką. Szelki te wkoło obszyte były wązką koroneczką czarną, na końcach zaś namarszczoną koronką, szeroką na cztery palce. Rękawy szerokie, otwarte, miały mankiet wyłożony w ząb, objęty gładko wstążką czarną. Oprócz tego był takiż sam jak suknia paletocik, wcinany do figury, z bardzo szerokiemi rękawami, spięty od góry do paska na rzęd czarnych wypukłych guzików. Wkoło paletota i rękawów szła ruszka z czarnéj wstążeczki na dwa palce.

Ładna też była suknia z letniéj półjedwabnéj popeliny czarnéj, przerabianéj w drobny biały marmurek i w szeroką lecz delikatną kratę. Spódniczka miała u dołu falbankę czarną mantynową, na pół ćwierci łokcia nad nią wyszyty był deseń *en treillage* czarną na dwa palce wstążką; staniczek miał wykładane klapki czarne, objęte wkoło fałdowaną wstążeczką; rękawy obcisłe do ręki, od spodu były przymarszczane; wierzchnia zaś część tworzyła wzdłuż rękawa jakby spuszczoną klapę, wyciętą w trzy zęby, ogarnirowaną wstążeczką. Nowy to zupełnie rodzaj rękawów, opisać go dokładnie niepodobna, ale zaleca się zgrabnym kształtem i wygodą. Szarfa szeroka, przewiązana z boku na węzeł, obszyta frendzlą, dopełniała ozdoby téj ładnéj sukni. Pod otwarty staniczek dodany był kołnierzyk płócienny stojący, z koszulką w drobne zakładeczki, podwiązany czarną krawatką.

Równie ładna była suknia z popielatéj letniéj popeliny w czarne kropki. Spódnica gładka, miała przód naszyty trzema czarnemi jedwabnemi plisami. Plisy te, węższe w górze, rozszerzone ku dołowi, szeroko rozchodziły się na sukni. U dołu zakończone były w ząb w kształcie liścia i niezupełnie dochodziły do końca spódnicy. Wkoło nich szła wypustka z popeliny popielatéj jak suknia, brzegiem zaś wąziuchna falbaneczka z czarnéj wstążki. Stanik gładki, spinał się na guziczki czarne i zakończał paskiem czarnym z klamerką lawową. Rękawy otwarte, nieszerokie, miały wyłożony mankiet czarny, objęty wypustką popielatą i czarną falbanką. Na wierzch szedł krótki paletocik, z pod którego przynajmniéj na łokieć widać było spódnicę. Paletocik ten ogarnirowany był wkoło gładką pliską czarną, daléj wypustką popielatą i znów czarną falbaneczką. Od góry do stanu zapinał się na rzęd czarnych guzików. U dołu, po obudwóch bokach, zostawiony był rozporek na półtory ćwierci, obszyty z obu stron czarną wstążką na dwa palce. Wstążki te, przechodząc w górze nad rozporek, zakładały się na krzyż, tworząc jakby widełka roztwarte u góry, przytwierdzone w środku guzikiem. Po obu stronach rozporka, na wstążce zakończonéj w ząb, dane były małe jedwabne kwaściki. Z boków szły kieszenie, naszyte na otworze wstążką w poprzecz; od téj wstążki spadały na dół trzy takież same paski i długie blizko na ćwierć łokcia; dwa boczne były nieco krótsze, średni zaś najdłuższy; wszystkie trzy kończyły się kwaścikami. Rękawy niezbyt szerokie, otwarte, obszyte fałdowaną wstążeczką, od spodu były rozcięte i przybrane widełkami z czarnéj wstążki, tak samo jak rozporki u dołu paletota. Prześliczny ten paletocik, zwany *Impériale*, stanowi dziś w Paryżu pierwszą nowość wiosenną.

Na zakończenie przytaczamy kilka całkowitych ubiorów:

Ubranie wizytowe. Suknia *poult de soie* czarna, naszyta u dołu drabinką z czarnéj aksamitki. Mantyla aksamitna w kształcie chustki, z szerokim wolantem aksamitnym. Kapelusz czarny jedwabny, przybrany aksamitem i piórem strusiém, podpięty diademem z czarnych kwiatów. Kołnierzyk maleńki webowy.

Ubranie młodéj panienki. Spódniczka pondyszery czarna, wycięta u dołu w zęby naszyte plecionką. Pas szwajcarski nakształt gorsecika na fiszbinach, ogarnirowany fałdowaną wstążeczką. Szmizetka muszlinowa biała, układana w fałdy z szerokiemi rękawami, ujętemi w obcisły mankiecik. U szyi i u ręki wązka walansienka. Na głowę maleńkie czółko aksamitne czarne.

Ubranie w domu. Spódniczka z popelinety czarnéj w białe paski. Koszulka Garybaldka czarna, wyszywana białym sznureczkiem. Siatka zuawska, wygarnirowana wstążką naszytą na obrąbku perełkami z lawy. Kołnierzyk stojący płócienny; krawatka czarna.

Nowości Zagraniczne.

Petit courier des dames. — W kroju kapeluszy pomyślna nastąpiła zmiana. Mniéj są podniesione nad czołem, a przez to nierównie zręczniejsze. Rondo zawsze zachodzi mocno na przód; boki ścięte uciekają ku tyłowi; spód kapelusza musi być suto nagarnirowany i ozdobiony piórami, kwiatami

lub wstążką. Przytaczamy kilka najświeższych wzorów:

1. Kapelusz ryżowy, przybrany czarną wstążką i rozetami z czarnéj koronki, mieszanemi ze słomką; rozety te mają kształt kwiata *datury*, jest to najmodniejszy rodzaj.

2. Kapelusz ryżowy, przybrany czarną koronką i blondynką białą. Szarfy spadające po bokach.

3. Kapelusz biały krepowy z piórem; karczek nadzwyczaj wielki. Takie karczki ochraniające od słońca, używane będą w tym roku; równie są ładne jak wygodne.

4. Kapelusz biały włosiany, przybrany czarną materją w rzucik ze słomki; podpięcie z jagód czarnych.

5. Kapelusz brukselski, z odwiniętym w górę rondkiem, objęty wkoło ruszką czarną.

6. Kapelusz drewniany biały, przybrany czarną koronką; nad czołem kokarda czarna jedwabna.

Wszystkie w ogólności suknie, tak strojne jak codzienne, garnirują u dołu fałdowaną falbanką, która zastępuje obrębek.

Krepa zwana *crêpe lisse*, wróciła w tym roku do mody; robią z niéj kapelusze, woalki i okrywki letnie. Suknie fularowe będą miały jeszcze równe powodzenie jak w roku zeszłym.

Krynoliny zaczynają zastępować spódnicą zwaną *Jupon Impératrice*. Do wiosennego zwłaszcza ubrania, nowy ten rodzaj zdaje się zupełnie odpowiedni. Spódnica ta zrobiona ze sztywnego i gęstego muszlinu, składa się z kilku wolantów, położonych zręcznie jeden nad drugim. Suknia na niéj lepiej się nierównie układa, niż na zwyczajnych klatkach lub spódnicach z obręczami. Magazyn *Josselin* celuje w odrabianiu tego nowego rodzaju spódnic.

—W zakładzie pana Pika (ulica Miodowa pod filarami), między wielu pożytecznemi rzeczami oglądaliśmy w tych dniach prześliczne *ogniotrwałe szafki*. Są to średniéj wielkości mebelki palisandrowego koloru, całe z żelaza, z podwójnemi ścianami, między któremi przestrzeń zapełniona jest popiołem, tak, iż przez długi czas znajdować się mogą w ogniu nie ulegając zniszczeniu.

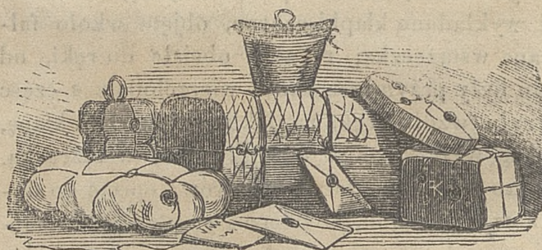
Szafki tego rodzaju, z eleganckiemi ozdobami, niczém się powierzchownością swoją nie różnią od zwykłego zamykanego biórka lub szafki, lecz wewnątrz są nader dowcipnéj i skomplikowanéj konstrukcji z licznemi przedziałami i skrytkami. Szafka zamyka się na ośm zamków, otwierających się wiadomym tylko właścicielowi sposobem, za pomocą małego kluczyka. Zamek główny jest ukryty, i dopiero za poruszeniem sprężyny odsłania się. Mebel więc ten, ubezpieczający zawarte w nim przedmioty nie tylko przeciw ogniowi, lecz i złodziejom, bo ani go spalić, ani otworzyć, ani rozbić, ani wreszcie porwać nie podobna, służyć wybornie może dla majętniejszych gospodyń do chowania sreber domowych, ważnych papierów i różnych kosztowności. Cena takich ogniotrwałych szafek wynosi od złp. 900 do 1,200.

Opis ryciny.

Fig. 1. Suknia popelinowa, wyszyta deseniem z aksamitek *à la Grecque*. Stanik gładki, z ranwersem od ramion. Kapelusz jedwabny, przybrany koronką i piórem.

Fig. 2. Suknia z rojaliny wełnianéj, ozdobiona rzędem rozet z czarnéj koroneczki, z guzikiem w pośrodku. Stanik gładki baskinę ma od boków, obszytą dobrym barankiem, formującą kaftanik. Kieszenie również naszyte astrachaniją. Rękawy płaskie. Kołnierzyk webowy.

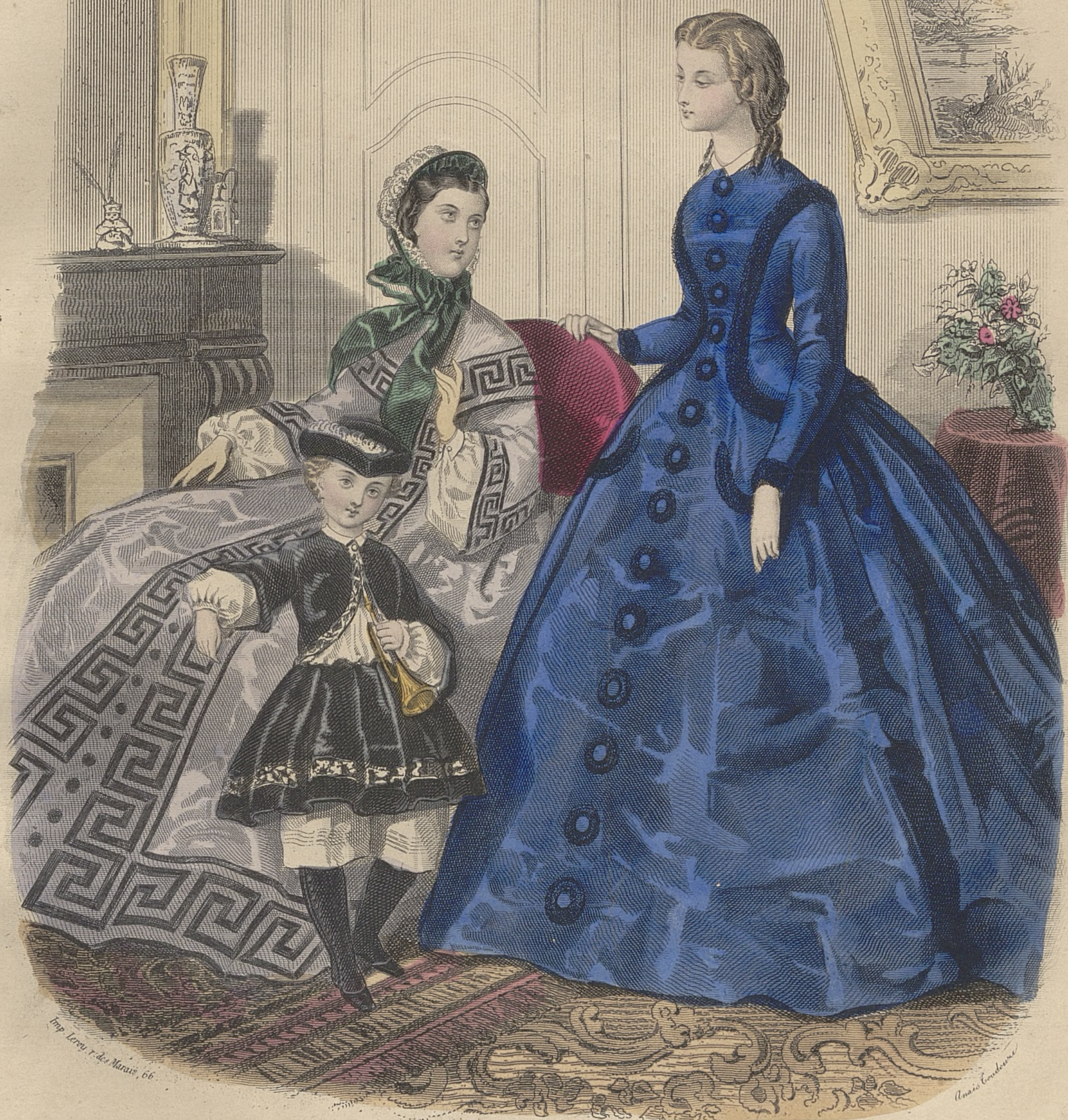
Fig. 3. Ubranie chłopczyka. Spódniczka czarna aksamitna, naszyta u dołu paskiem na trzy palce szerokim z białéj materji. Deseń wyszyty na nim z wązkiéj aksamitki. Kaftanik zuawski. Koszulka półbatystowa z takimże kołnierzykiem i rękawkami. Kapelusz węgierski z piórem.



Panu F. Ku.. P...—Młodych, garnących się do nauki, kochamy i poważamy; najlepsza to bowiem służba, podjęta dla sprawy dobra ogólnego. Pisanie jednak wierszy nauką nazwać nie można, tym bardziéj gdy im wiele brakuje. Nadesłane „Dumanie" nie może być drukowane.— —Panu z podpisem *Przyjaciele kraju*.—Zrobimy jak pragniecie, powody cenimy i wdzięczni jesteśmy za szczerość i otwartość.——P. Ok. Wi. w Mu...—Tablicę z deseniami przesłaliśmy pocztą. O modach męzkich dajemy oddzielne sprawozdania, i takowe uważamy za dostateczne i właściwe. Życzeniu więc pańskiemu zadosyć uczynić nie możemy.— —Panu Mi. Kli...—Do kupna obuwia dodano złp. 3 gr. 24.— —Pani Lu. Ryl...—Za przesłane formy należy się złp. 14 gr. 18.— Pani Buł...—Od kupna gorsetu zostało złp. 4 gr. 9.— —Pani W... Swinar...—Na kościół Marjawitek odebraliśmy złp. 25.— —Panu Mar. w Zawicho...—Do kupna sprawunków dodano złp. 2 gr. 10.— —Panu Leo .. Baczy...—Do przesyłki płótna dołożyliśmy złp. 3 gr. 10.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MOD

w Warszawie

Dodatek do Nru 16 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 19 Kwietnia 1862 roku. *7 Kwietnia.*

KRWAWY MYRT.

Z OPOWIADANIA STAREGO LEGJONISTY

SPISAŁ

Adam Pług.

Pół wieku już minęło, jak w jednym z polskich domów szlacheckich znajdowałem się na weselu, aż dotąd mi pamiętném z powodu pewnych okoliczności, które zbyt silnie uderzyły wyobraźnię moją, wówczas młodzieńczą. W ogóle nawet, jakkolwiek długo żyję na świecie i już niejednéj parze błogosławiłem, niejednych godów wspaniałych uczestnikiem byłem wesołym; takich przecież jak tamte nie widziałem więcéj ni razu i nie obaczę już pewno.

Pan młody miał swe gniazdo na Litwie; matka jego z Rusi ród wiodła, chmara więc z niemi przyciągnęła krewniaków z téj i owéj krainy, a to samo już osobliwszą cechę dawało temu weselu, które ochocza godowników drużyna żartobliwie uniją Litwy z Koroną zwała. Bo trzebaż jeszcze i téj dziwnéj przygody, aby oblubienica miała imię Jadwiga, on zaś, jak umyślnie, Władysław.

Obie rodziny były bardzo zamożne, a choć nie senatorskie, przecież nie brakło im bynajmniéj pięknych zasług w ojczyznie; bo jak jednéj tak i drugiéj przodkowie, w długiéj wieków kolei, niemało ofiar położyli na jéj ołtarzu, niemało krwi dla jéj dobra wylali. Piękne więc było grono weselne; a zacne gospodarstwo, wielce radzi swym gościom, występowali co się zowie honeste.

Na kilka dni przed ślubem uczta się rozpoczęła i czas nam schodził bardzo wesoło. Ale im bliżéj było do Sakramentu, tém oblubieniec poważniejszym się stawał, tém uroczystszém zdawało się piękne jego oblicze, tém jakoby wznioślejszą i okazalszą cała jego postawa. I panna młoda, cudo dziewica, zadumywała się jakoś powoli, i nie powiem, że posępniała, lecz w niewymowną rzewność i niby zapomnienie się jakieś wpadała; a patrząc na jéj lica anielskie, na które jakieś nieziemskie występowały blaski, na jéj postać wiotką a smukłą, którą jakby w powietrzu unosiły lekkie jéj stopy, nieraz mi się zdawało, że nie samą już duszą ale i ciałem od ziemi się odrywa.

Spoglądaliśmy na nich z wielkiém zajęciem, z mimowolnym podziwem i zachwytem; a szczególne to ich usposobienie nieznacznie téż i na nas oddziaływać zaczęło. Z hucznéj zabawy, z pląsów ochoczych przechodziliśmy zwolna do cichéj a poważnéj biesiady, do któréj w on czas treści braknąć nie mogło.

Szeptali więc niektórzy: nie dziw że smętnie marzą nasi oblubieńcy; nie dziw że i rodziców zachmurzyły się lica. Jednym i drugim na myśl pewno przychodzi, że pod złą wróżbą ten związek się kojarzy w czasach takich burzliwych... Kto wié, ażali nim miodowe miną miesiące, nie przyjdzie młodzianowi dla Marsa o Hymenie zapomnieć?....

Nareszcie nastał dzień najuroczystszy. Młodzi cały poranek przepędzili w kaplicy, przez modlitwę i spowiedź gotując się do świętych ślubów; a gdy powrócili do dworu, drużki niebawem jedne się wzięły do robienia bukietów, drugie zaś pannę młodą poszły ubierać. Goście w wielkiéj sali zebrani, rozmawiając z sobą poważnie, w uroczystym nastroju ducha czekali na oblubieńców z błogosławieństwem serdeczném. Po chwili nieco się gwarniéj zrobiło, bo druchny z bukietami nadeszły, przy których przypinaniu ten i ów z żartem wesołym się odezwał. Wtém, idą! idą! zaszeptano ode drzwi bocznych, i wszystkie oczy w tamtą stronę pobiegły, i zdumienie wszystkich przejęło...

Panna młoda przez drużbów wprowadzona do sali, w czarną suknię była odziana, a na głowie, przykrytéj białym jak śnieg welonem, miała wieniec z myrtu żywego, na którego listkach zielonych krwawe centki migały. Pan młody prowadzony przez druchny, miał na sobie biały żupanik, czarnym jedwabnym, w srebrne rzuty pasem ściśnięty, a powierzch niego czarny kontusz do kolan, z wylotami białemi; u boku karabelę, w ręku białą czapkę z czarnym barankiem, na piersiach bukiet z myrtu krwawego.

Spojrzeliśmy po sobie, jakby jedni drugich py-

tając o przyczynę tego stroju dziwnego; spojrzeliśmy na siebie, i w swoich też bukietach teraz dopiero spostrzegliśmy myrt krwawy.

Po niejakiéj chwili milczenia znów się szepty zaczęły, bo już nie wzrokiem lecz słowem każdy dopytać się powodu takiéj szaty weselnéj pragnął. Aż wtém pan młody wyszedł na środek sali i tak do nas przemówił:

— Dziwią was pewno suknie nasze żałobne, w któreśmy się przystroili do ślubu, jakby na przekor zwyczajowi tradycyjnemu? Zastanawia was również i ten myrt krwawy w wieńcu oblubienicy i w bukietach weselnych? Niejeden może nieosobliwe jakieś wnioski ztąd wyprowadza i gorszy się po cichu excentrycznem postępowaniem naszém, biorąc je za maskaradę jakąś wenecką, świętości Sakramentu uwłaczającą... Owoż, nim przed ołtarz pójdziemy, nim się do kolan waszych schylimy po błogosławieństwo, wprzód powinienem rzecz wam całą objaśnić, byście tém szczerzéj nam błogosławili i tém goręcéj modlili się za nami.

Od dwóch wieków już blizko suknia żałobna jest ślubnym strojem rodu mojego, i będzie nim dopóty, dopóki krwawe plamy nie znikną na listkach myrtu, od dwóch wieków już blizko krzewiącego się z niemi w domu moim ojczystym. O tym zaś dziwnym myrcie taką mamy tradycją:

Za panowania Jana Kazimierza, w którém biedna nasza ojczyzna tak wielu naraz miała nieprzyjaciół, tak wiele krzywd okropnych, tak wiele klęsk doznała, 1661 roku, w Listopadzie, w dzień świętéj Salomei, Patronki rodu naszego, którą dzisiaj właśnie święcimy, w domu prapradziada mojego, mimo trwogę wojenną zebrał się gości poczet bardzo wielki; a prócz starców i dzieci, męzka drużyna składała się z samych towarzyszy pancernych, co na dzień jeden wymknęli się z obozu, nieopodal rozłożonego, aby wziąć udział w uroczystéj uczcie rodzinnéj, jaka nieczęsto się trafia. Były to gody weselne, ale jakie gody!

Prapradziad mój obchodził złote swoje wesele, a syn jego najmłodszy, pradziad mój rodzony, w tę radosną rocznicę, pod najszczęśliwszą wróżbą, miał też bogdance swojéj wieczną wiarę ślubować. Bogiem a prawdą, nie była to pora po temu, dlatego zwłaszcza, kto, jak mój pradziad, z obozu wprost szedł przed ołtarz, by ledwie nie od ołtarza, znów do obozu powrócić, a może i w ogień bojowy skoczyć. Ale że około tego wesela już lat kilka radzono, że je umyślnie odkładano cierpliwie na tę uroczystą rocznicę złotą, przypadającą w święto Patronki naszéj, która jak prapradziadka mojego ślubom, tak też i ojcu jego, i dziadowi, i trzem starszym synom błogosławiła: więc się doczekawszy dnia tego, nie zważano już wcale na porę mniéj właściwą, a ciesząc się chwilą dzisiejszą, jutro na Boga zdano.

I naprawdę, piękna to była chwila, gdy młody oblubieniec, dzielny wojownik z zastępów Czarnieckiego, z miłością i czcią wielką upadł do nóg ojca swojego, błogosławieństwa prosząc; i gdy ten szczęśliwy jubilat, bohater uwieńczony nie tylko w cichéj walce prywatnego żywota, lecz i w bojach chwalebnych pod Zamojskim, Żółkiewskim i Chodkiewiczem, ze łzami słodkiemi w oczach, z błogością niewysłowioną w licach, wzniósł drżące dłonie nad głową syna i wyrzekł błogosławiąc:

„Bądź tak szczęśliwym w życiu domowém z twoją bogdanką, jakem ja z moją był przez pół wieku i jak dziś jestem! Daj to ojczyźnie, co ja za łaską Bożą jéj dałem, a ujrzyj w większéj ją chwale, niźli dzisiejsza!“

I piękna była chwila, kiedy staruszkowie sędziwi, w poważnych szatach godowych, z myrtowemi bukietami na piersiach, dziatwę swą pobłogosławiwszy, sami z kolei „błogosławcie nam!“ rzekli, pochylając czoło przed dziećmi, i przed gośćmi, i przed domownikami swojemi!

Obie pary po chwili stały już przed ołtarzem w kościele, przepełnionym tłumem pobożnych i ciekawych widzieć obrzęd niepospolity; a w parę potém godzin całe grono weselne, przy odgłosie dźwięcznéj kapeli, otaczało stoły biesiadne, wznosząc rzęsne przezdrowie!

Kochajmy się nie obeszło jeszcze kolei, gdy śród najweselszéj biesiady, ussarz, cały błotem zbryzgany, snać od rączego cwału, wpadł jak piorun do sali i zadyszanym głosem zawołał: „do broni bracia! do broni!“

Kobiety przerażone w białe ręce klasnęły, towarzysze porwali się od stołu, rzuciwszy niedopite kielichy, a jubilat najpierwszy do ussarza przyskoczył, o przyczynę bojowego hasła pytając:

„Wróg na nas godzi! — odparł zwiastun Bellony, — lada moment pole mu damy; a głośniéj niż tu skoczna muzyka, groźne działa wnet zagrzmią; a hojniéj niż wino wesołe, krwi tam strugi popłyną! Do broni więc komu cześć i ojczyzna miła!“

„Do broni!“ krzyknął jubilat głosem młodzieńczym, a oczy mu dziwnym ogniem zabłysły i rozgorzało oblicze; wyprostował się, wzniósł dumnie głowę i jakby urósł w téj chwili...

„Do broni!“ zagrzmiał nieodrodny syn jego, i ledwie okiem, wielkiéj miłości pełném, rzuciwszy na pobladłą swą oblubienicę, wypadł w podwórze dać stosowne rozkazy, a kilku towarzyszy za nim w ślady pobiegło.

„Oto mi gody! — prawił staruch rozpromienio-

ny,—oto mi złote wesele!... Łaskaw Bóg na mnie, gdy mi dzisiaj w taki taniec skoczyć dozwala, com już do innego niezdolny. — I zatarł ręce, i wąs pokręcił, i w karabelę brzęknął, i na jednego z dworzan zawołał: — niech mi Chocimczyka siodłają!“

A sędziwa jego małżonka, drżąca i blada, załamawszy ręce w trwodze bolesnéj, słowa wyrzec nie śmiejąc, oczyma łez pełnemi spoglądała w około, jakby o ratunek błagając. Błaganie to zrozumieli starsi synowie i wnet do rodzica zbliżyli się z perswazją, aby, mając już dosyć laurów bojowych, pobłogosławił tylko młodszych na drogę, a sam w domu pozostał na Wojskiego dla niewiast.

Oburzył się staruch na te wyrazy, a ani mówić więcéj o tém już nie pozwolił. Parękroć tylko z wielką czułością ucałował w czoło swą żonę, swoją dzieweczkę, jak ją nazywał, uścisnął zapłakaną młodą synowę, i w pół godziny już był gotów zupełnie, uzbrojony od stóp do głowy, a na piersiach sobie zawiesił drogi bukiet swój ślubny. Obaczywszy to inni, wesoło wnet za jego poszli przykładem, powiadając że lepiéj w tańcu się sprawią, gdy myrtowe gałązki przypominać im będą, że do weselnéj należeli drużyny.

Mniéj niż w godzinę dwór się cały wyludnił. Mężczyźni do obozu pobiegli, a kobiety z rzewną modlitwą w kościele się zamknęły, dziatwę z sobą zabrawszy.

A był to dzień pamiętny w dziejach naszéj ojczyzny, dzień wielkiéj chwały i tryumfu dzielnych polskich zastępów, które pod wodzą Stefana Czarnieckiego rozgromiły przeważne siły nieprzyjacielskie.

Lecz dla mojego rodu stał się on dniem wielkiéj żałości; bo mój prapradziad, ów jubilat sędziwy, z młodym zapałem w najgorętszy się ogień rzucając, ugodzony strzałem śmiertelnym, zbyt drogo bohaterstwo swoje okupił. Krwią zbroczonego synowie i dworzanie wzięli z pobojowiska i tego jeszcze wieczora, na wpół żywego, odnieśli do domu, który się wielkim płaczem napełnił.

Cała rodzina z miłością niewymowną skupiła się przy łożu bohaterskiego starca, który lubo blizki już śmierci, miał wszelakoż całą przytomność i swobodę umysłu, a nawet błogi uśmiech na twarzy. Kiedy go rozdziewano aby rany opatrzyć, nagle spojrzał po sobie i aż zadrżał z radości, znalazłszy bukiet swój ślubny krwią zbryzgany na piersiach. Zerwał go, a podając najmłodszemu synowi, temu właśnie którego w dniu tym śluby święcono:

„Weź! — rzekł — te myrty! posadź je i pielęgnuj starannie na wieczystą w rodzie swoim pamiątkę! Przyjmą się pewno, przeżyją, bo krew moja serdeczna część mojego życia w nie wlała, i nie zblużnię, gdy powiem, poświęciła je uroczyście. Niechże się krzewią, niech się rozmnażają w potomne czasy na ślubne wieńce i bukiety dla dzieci i wnuków twoich, i niech w potomne czasy przenoszą pamięć o waszym ojcu, którego umiłował tak Pan Bóg, że mu w dzień złotego wesela na toast najuroczystszy wolno było krwi żywéj z własnych piersi utoczyć! Błogosławię wam! błogosławię!“

I ciężko dysząc, kładł ręce już stygnące na głowach rzewnie zapłakanéj rodziny, a po chwili o spowiednika prosił...

Nazajutrz dom już cały okryty był żałobą, w parę dni potém wspaniały pogrzeb się odbył, w parę zaś jeszcze tygodni znowu już tylko dzieci i niewiasty pozostały we dworcu, bo mężczyźni znów do obozu pobiegli.

Myrt posadzony i chodowany troskliwie, przyjął się z wielką łatwością i bardzo prędko nowe listki rozwinął. A na tych listkach, ku wielkiemu zdumieniu pielęgnujących go niewiast, krwawe plamki się ukazały. Zrazu, gdy wyjęte z bukietu gałązeczki sadzono, nie opłukano ich ze krwi, czcząc ją i zachowując umyślnie, jako świętą pamiątkę; stare więc listki miały na siebie plamki ze krwi prawdziwéj; kiedy więc i na młodych plamki te się znalazły, długo nie umiano zdać sobie sprawy z tego zjawiska, zawsze jednak myślano, że to jest rzecz tylko zewnętrzna; nie probowano wszakże plamek tych zmywać, by i ze starych też listków krwi nie opłukać. Lecz gdy powoli stare listki same opadły, a młode, jeden w drugi, na sporéj już krzewinie, krwawemi centkami się pstrzyły, zroszono je wodą rzęsiście i centek nie opłukano. Pokuszono się ręką je zetrzéć; starto kilka listków na miazgę, i przekonano się w końcu, że dziwną igraszką przyrodzenia, a raczéj dziwném Bożém zrządzeniem krew starca bohaterskiego uwieczniła się na liściach myrtu, który wyrósł z gałązek, co ślubny jego bukiet składały.

Łatwo pojąć, jak drogą, jak uroczystą pamiątką myrt ten stał się dla rodu naszego. Pielęgnowano go też z troskliwością najczulszą i ze czcią, ledwie nie religijną, a starano się jak najwięcéj rozmnażać, co zresztą z niesłychaną przychodziło łatwością. Nie płonną snać była wiara konającego starca, który rzekł na swém łożu śmiertelném, że krew jego serdeczna, część życia jego w myrt ów przelała i poświęciła go uroczyście.

Dziad mój tedy już z krwawych myrtów oblubienicy swojéj dał wianek, a nadto, woli ojca swego posłuszny, na uczczenie pamięci bohaterskiego przodka, starym zwyczajem rodu swojego, w dzień świętéj Salomei przystępując do ślubu, nie w białą lecz w czarną szatę odzianą pannę młodą popro-

wadził przed ołtarz. Rodzice moi święcie też zachowali ten zwyczaj: i dla nich dzień świętéj Salomei był dniem wesela i rodowéj razem żałoby, bo i oni też z krwawych myrtów ślubne bukiety i wieniec mieli. Na mnie dziś koléj, bo z myrtu prapradziadowego krew dotychczas nie zeszła. A więc nie gorszcie się szatą naszą żałobną, a z serca nam pobłogosławcie... Bo kto wié, jak miodowe miesiące dla nas się złożą? jak myrt nasz ślubny na nas oddziała? Dziad mój ś. p. całą duszą Leszczyńskiemu oddany, w parę niedziel po ślubie żonę musiał opuścić, by krwawy okup krwawemu myrtowi złożyć, a jéj dać donosić żałoby; toż samo i ojciec mój najmilszy, który już za Stanisława Poniatowskiego matkę moją poślubił... Mamże być od nich szczęśliwszym, a raczéj nieszczęśliwszym?.. Więc błogosławcie, błogosławcie nam z serca, nie na radość i spokój, lecz na wytrwałość i ochoczą ofiarę!—

Skończył, a nas zdumienie wielkie i dziwne opanowały myśli.... Ten, ów coś szepnął do swojego sąsiada i nagle urwał, bo zaczął się uroczysty obrzęd błogosławieństwa, a w ślad za tém cały orszak weselny do kościoła pospieszył. I ja też udałem się z innymi i modliłem się szczerze za szczęście nowożeńców, błagając dla nich o wytrwałość i dobrą wolę w ofierze. Chciałem modlić się długo, lecz już mi na to nie starczyło skupienia ducha, bo myrt krwawy, który miałem w swoim bukiecie, tak mię opanował przeważnie, że już o niczém inném myśléć nie mogłem.

I rozważałem, przyklękły śród kościoła, dziwne Boże wyroki, co w tym myrcie tak się wyryły; rozważałem wielkie znaczenie krwi téj błogosławionéj, co ledwie nie przez dwa wieki na jego się listkach wybija, i jawnym znakiem w czasy potomne przenosi pamięć obowiązków rodowych i do spełnienia onych pociąga. I myślałem też sobie, szczep myrtu do szczepu rodziny stosując, że jako gałęź z gałęzi, tak pokolenie z pokolenia wyrasta. I żywo mi w oczach stanęły genealogiczne drzewa rodów szlacheckich, co z bioder przedwiecznego protoplasty sławnego pień swój podnosząc, i w coraz to liczniejsze bogacąc się konary, z jednego wypuszczając po kilka i kilkanaście, świadczą wyraźnie, że jako we wszystkich gałęziach drzewa te same soki, tak też we wszystkich potomkach rodu ta sama krew żywa krąży, a z nią i tradycje rodowe i duch ten samy...

Skończył się święty obrządek i powróciliśmy do dworu. Spełniliśmy toast za szczęście nowożeńców, i statecznie, poważnie rozmawialiśmy z sobą, nie myśląc już o hucznéj biesiadzie, a jeszcze mniéj o tańcach, które nie mogły z żałobą się pogodzić.

Mnie ciągle bawiła w myśli opowieść Władysława o jego prapradziadka złotém weselu, ciągle brzmiał w uszach krzyk owego ussarza: do broni bracia! do broni! I nieraz takem się zapomniał, że na lada tentent w podwórzu podbiegałem do okna, czy nie wiedzę skrzydlatego gońca Bellony; na lada drzwi skrzypnięcie biegłem ku nim oczyma, sądząc, że już wpada na salę....

I cóż na to powiecie? Przed wieczorem zjawił się goniec! Inaczéj wprawdzie wyglądał, inaczéj się do nas odezwał, i nie poskoczyliśmy zaraz w taniec bojowy; niemniéj wszelakoż niejeden z nas, zdolnych do dźwigania oręża, na weselu owém obecnych, nie wykupił się od krwawego haraczu krwawym myrtem weselnym. Cała nasza młoda drużyna wraz z panem Władysławem, w tymże jeszcze tygodniu w świat szeroki pobiegła i nierychło wróciła pod swe strzechy ojczyste...

Wiele już lat odtąd minęło. Nie zdarzyło już mi się być na weselu czyimbądź z rodu pana Władysława; nie wiadomo mi przeto, czy dotąd w jego domu krwawe myrty się krzewią. Ale jego opowiadanie tak mi w pamięć się wjadło, tak zamąciło w głowie, że aż do dziś dnia jeszcze, ilekroć się znajdę na jakim ślubie, to mi się ciągle coś marzy, jakoby panna młoda w żałobie i w wieńcu z krwawych myrtów szła do ołtarza, jakoby nawet całe grono weselne w czerni ubrane było; i razi mię skoczna muzyka i gorszą tańce wesołe!... Dręczy to mię nad wszelki wyraz, a nawet i zatrważa, jak symptom obłąkania; to też przy każdym ślubie modlę się najgoręcéj, aby Bóg miłosierny ten urok dziwny zdjął wreszcie z moich oczu nieszczęsnych i w barwach radośniejszych dał mi świat mój oglądać!!...

FRAGMENT.

Zkąd ci się uśmiech na ustach bierze,
Pośród tak ciężkiéj niedoli?
O! bo w Opatrzność ufam—i wierzę,
Że co dziś boli—przeboli.

Czemu nietrwożny w obec zaguby,
Rąk nie opuszczasz w niedoli?
Bo wiem—że pośród ciosów i próby,
Jedyną tarczą—hart woli.

Czemu cię nawet praca codzienna,
Nie wzdryga i wśród niedoli?
A czemu rolnik—choć pora zmienna,
Nie rzuca jednak swéj roli?

Jan Prusinowski.
